

# HARLAN COBEN

## Sześć lat później

Thriller



# 1

Usiadłem w ostatniej ławce i patrzyłem, jak miłość mojego życia wychodzi za innego mężczyznę.

Natalie miała oczywiście na sobie białą suknię, w której wyglądała — ku mojej wiecznej udręce — wspaniale. Zawsze była krucha, a jednocześnie emanowała spokojem i siłą. Teraz, stojąc przed ołtarzem, Natalie sprawiała wrażenie eterycznej, niemal nieziemskiej.

Przygryzała dolną wargę. Przypomniały mi się te leniwe ranki, kiedy kochaliśmy się, a potem wkładała moją niebieską koszulę i schodziliśmy na dół. Siadaliśmy w kąciku jadalnym i czytaliśmy gazetę, a ona w końcu wyjmowała szkicownik i zaczynała rysować. Kiedy mnie portretowała, właśnie tak przygryzała wargę.

Do mojej piersi wdarły się dwie dłonie, złapały serce i złamały je na pół.

Po co ja tu przyszedłem?

Czy wierzycie w miłość od pierwszego wejrzenia? Ja też nie. Natomiast wierzę w silne, więcej niż fizyczne

zauroczenie od pierwszego wejrzenia. Wierzę, że czasem — raz, może dwa razy w życiu — czuje się do kogoś silny, nieodparty pociąg, silniejszy od przyciągania magnetycznego. Tak było z Natalie. Czasem na tym się kończy. Czasem to uczucie rośnie, rozpala się i zmienia w cudowny żar, niewątpliwie prawdziwy i mający trwać wiecznie.

A czasem człowiek się myli, biorąc to pierwsze za to drugie.

Naiwnie myślałem, że zawsze będziemy razem. Ja, który nigdy naprawdę nie wierzyłem w stały związek i robiłem, co mogłem, żeby uniknąć jego pęt, wiedziałem od razu — no, przynajmniej już po tygodniu — że przy tej kobiecie będę się budził każdego dnia. Tę kobietę byłem gotów chronić, narażając życie. Była tą — tak, wiem, jak ckliwie to brzmi — bez której nie mogłem żyć, która sprawiała, wydawało mi się, iż nawet zupełnie prozaiczne czynności mają głęboki sens.

Wiem, powinienem się zamknąć.

Duchowny z gładko ogoloną głową coś mówił, ale szumiąca mi w uszach krew nie pozwalała zrozumieć jego słów. Patrzyłem na Natalie. Chciałem, żeby była szczęśliwa. To nie był tylko frazes, jedno z tych kłamstw, które często sobie mówimy, ponieważ tak naprawdę, jeśli ukochana osoba nas nie chce, to życzymy jej, żeby cierpiała. Ja naprawdę tego pragnąłem. Gdybym wierzył w to, że Natalie będzie szczęśliwsza beze mnie, pozwoliłbym jej odejść, obojętnie jak bolesny byłby to dla mnie cios. Jednak nie wierzyłem, że będzie szczęśliwsza, pomimo

wszystkiego, co powiedziała czy zrobiła. A może to było tylko samousprawiedliwienie, jedno z tych kłamstw, które sobie wmawiamy?

Natalie nawet na mnie nie spojrzała, ale zauważyłem, że lekko zacisnęła usta. Wiedziała, że jestem w kaplicy. Nie odrywała oczu od swojego przyszłego męża. Miał na imię, jak niedawno odkryłem, Todd. Nienawidzę imienia Todd. Todd. Zapewne nazywają go Toddy, Todd-Man lub Toddster.

Miał zbyt długie włosy i ten czterodniowy zarost, który niektórzy uważają za modny, a inni — wśród nich ja — za prowokujący do ciosu w szczękę. Jego oczy pobieżnie i z zadowoleniem przesuwają się po gościach, zanim spoczęły... no cóż... na mnie. Zatrzymały się na sekundę, patrząc uważnie, zanim Todd uznał, że nie jestem wart jego zainteresowania.

Dlaczego Natalie odeszła właśnie z nim?

Pierwszą druhną była siostra Natalie, Julie. Stała na podium, trzymając bukiet w obu rękach, z zastygłym, sztucznym uśmiechem. Nie znaleźmy się, ale widziałem jej zdjęcia i słyszałem, jak rozmawiały przez telefon. Julie również wyglądała na zaskoczoną takim obrotem spraw. Próbowałem popatrzeć jej w oczy, ale miała ten nieobecny wzrok.

Znów spojrzałem na twarz Natalie i poczułem się tak, jakby w mojej piersi eksplodowało kilka małych ładunków wybuchowych. Bach, bach, bach. Człowieku, to był zły pomysł. Kiedy drużba wyjął obrączki, płuca zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa. Nie mogłem oddychać.

Dość.

Chyba przyszedłem tu, żeby zobaczyć to na własne oczy. Przekonałem sam siebie, że tak trzeba. Mój ojciec zmarł na atak serca pięć miesięcy wcześniej. Nigdy nie miał problemów z krążeniem i wydawało się, że jest w całkiem dobrej formie. Pamiętam, jak siedziałem w szpitalnej poczekalni, a potem wezwano mnie do dyżurki i przekazano druzgoczącą wiadomość — a potem zapytano, zarówno tam, jak i w domu pogrzebowym, czy chcę zobaczyć zwłoki. Odmówiłem. Pomyślałem, że nie chcę pamiętać go leżącego na stole lub w trumnie. Chciałem pamiętać go takiego, jaki był.

Jednak z czasem zacząłem mieć problem z zaakceptowaniem tego, że umarł. Był przecież pełen życia i energii. Dwa dni przed jego śmiercią poszliśmy na mecz hokejowy nowojorskich Rangersów — tata miał wejściówki na cały sezon — a kiedy mecz kończył się dogrywką, obaj krzyczeliśmy i wiwatowaliśmy, no więc jak mógł być martwy? Mimo woli zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniono jakiejś pomyłki albo gigantycznego oszustwa i mój ojciec nadal żyje. Wiem, że to bez sensu, ale rozpacz potrafi igrać z człowiekiem i jeśli da się jej choć odrobinę swobody, znajdzie rozmaite alternatywne odpowiedzi.

Ponadto dręczyło mnie to, że nie widziałem ciała ojca. Nie chciałem teraz popełnić tego samego błędu. Jednak — podtrzymując tę kulawą metaforę — już zobaczyłem zwłoki. Nie było powodu sprawdzać pulsu, dotykać czy pozostawać tu dłużej niż to konieczne.

Próbowałem wyjść tak niepostrzeżenie, jak się da. Nie jest to łatwe, kiedy się ma metr dziewięćdziesiąt pięć i jest się zbudowanym — używając porównania Natalie — jak drwal. Mam duże dłonie. Natalie je uwielbiała. Trzymała je w swoich i wodziła po nich palcem. Mówiła, że to prawdziwe dłonie, męskie dłonie. I rysowała je, ponieważ, jak twierdziła, opowiadały moją historię — o moim robotniczym pochodzeniu, o tym, że zarabiałem jako bramkarz w miejscowym nocnym klubie, by móc studiować w College’u Lanforda, także o tym, że zostałem najmłodszym wykładowcą na wydziale nauk politycznych.

Chwiejnie wyszedłem z białej kaplicy na rozgrzane letnie powietrze. Lato. A więc chodziło tylko o to? O letnią przygodę? Ale przecież nie byliśmy dwojgiem napalonych dzieciaków, szukających wrażeń na letnim obozie, byliśmy dwojgiem dorosłych szukających ucieczki — ona, by malować, ja, by przygotować dysertację z nauk politycznych — którzy spotkali się, zadurzyli w sobie, a teraz nadszedł wrzesień i, no cóż, wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Nasz związek miał w sobie coś nierealnego, oboje oderwaliśmy się od codziennego życia i zwyczajnych spraw z nim związanych. Może dlatego to było takie niesamowite. Może to, że spędzaliśmy razem czas tylko w tej oderwanej od rzeczywistości kapsule, czyniło nasz związek lepszym i intensywniejszym. A może wygadywałem głupoty.

Za drzwiami kaplicy usłyszałem okrzyki i brawa. To wyrwało mnie z odrętwienia. Nabożeństwo się skończyło.

Todd i Natalie byli teraz panem i panią Nieogolonymi. Wkrótce przejdą nawą. Zastanawiałem się, czy zostaną obsypani ryżem. Toddowi pewnie by się to nie spodobało. Ziarna zepsułyby mu fryzurę i utkwily w zaroście.

Nie musiałem tego oglądać.

Poszedłem za kaplicę i zniknąłem wszystkim z oczu, w chwili gdy drzwi otworzyły się na oścież. Popatrzyłem na polanę. Nie było tam nic, tylko ta polana. W oddali rosły drzewa. Domki stały po drugiej stronie wzgórza. Kaplica była częścią ośrodka pracy twórczej, w którym zatrzymała się Natalie. Ja mieszkałem nieco dalej, w ośrodku dla pisarzy. Oba były dawnymi farmami i nadal prowadzono tu trochę organicznych upraw.

— Cześć, Jake.

Odwrociłem się, słysząc znajomy głos. Niecałe trzy metry ode mnie stała Natalie. Odruchowo spojrzałem na serdeczny palec jej lewej ręki. Jakby czytając w moich myślach, podniosła ją, pokazując obrączkę.

— Gratuluję — powiedziałem. — Bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwa.

Zignorowała moje słowa.

— Nie wierzę, że tu jesteś.

Rozłożyłem ręce.

— Słyszałem, że będą wspaniałe przystawki. Trudno mi się było oprzeć.

— Zabawne.

Wzruszyłem ramionami, choć moje serce rozsypało się w proch, który po chwili rozwiął wiatr.

— Wszyscy mówili, że się nie pojawisz, jednak ja wiedziałam, że przyjdiesz.

— Wciąż cię kocham.

— Wiem.

— A ty wciąż kochasz mnie.

— Nie, Jake. Widzisz?

Pokazała mi obrączkę.

— Złotko? — Zza rogu wyłonili się Todd i jego zarośnięta gęba. Zauważył mnie i ściągnął brwi. — Kto to jest?

Jednak było widać, że wie.

— Jake Fisher — przedstawiłem się. — Gratulacje z okazji ślubu.

— Gdzie ja już pana widziałem?

Zostawiłem wyjaśnienia Natalie. Uspokajająco położyła dłoń na jego ramieniu.

— Jake często był naszym modelem. Zapewne widziałeś go na niektórych rysunkach.

Todd wciąż miał ściągnięte brwi. Natalie odwróciła się do niego.

— Zostaw nas na chwilę, dobrze? — poprosiła. — Zaraz przyjdę.

Zerknął na mnie. Nie ruszyłem się z miejsca. Nie cofnąłem. Nie odwróciłem oczu.

— W porządku — mruknął niechętnie. — Ale nie zabaw tu długo.

Posłał mi jeszcze jedno niechętnie spojrzenie i znikł za rogiem kaplicy. Natalie popatrzyła na mnie. Wskazałem opuszczone przez Todda miejsce.



— Wygląda na zabawnego faceta — powiedziałem.

— Po co tu przyszedłeś?

— Musiałem ci powiedzieć, że cię Kocham. Musiałem ci powiedzieć, że nigdy nie przestanę.

— To już koniec, Jake. Pogodzisz się z tym. Nic ci nie będzie.

Nie odpowiedziałem.

— Jake?

— Co?

Lekko przechyliła głowę. Wiedziała, jak działa na mnie ten gest.

— Obiecuj mi, że zostawisz nas w spokoju.

Milczałem.

— Obiecuj, że nie będziesz nas śledził, dzwonił ani nawet przysyłał maili.

Ból w mojej piersi się nasilał. Zmienił się w coś ostrego i ciężkiego.

— Obiecuj mi, Jake. Obiecuj mi, że zostawisz nas w spokoju.

Wbiła we mnie wzrok.

— Dobrze — powiedziałem. — Obiecuję.

Nie mówiąc nic więcej, Natalie ruszyła w stronę kaplicy i mężczyzny, którego właśnie poślubiła. Stałem przez chwilę, usiłując wyrównać oddech. Próbowałem wzbudzić w sobie gniew, zbagatelizować sprawę, zbyć ją wzruszeniem ramion i powiedzieć, że to jej strata, usiłowałem nawet podejść do tego dojrzałe, lecz mimo to wiedziałem, że tylko odwlekam chwilę, kiedy przyjdzie mi stawić czoło rzeczywistości, w której na zawsze będę miał złamane serce.

Pozostałem na tyłach kaplicy, aż uznałem, że wszyscy sobie poszli. Wtedy się pokazałem. Duchowny z ogoloną głową stał na stopniach. Siostra Natalie, Julie, również. Położyła dłoń na moim ramieniu.

— Dobrze się czujesz?

— Super — zapewniłem ją.

Duchowny uśmiechnął się do mnie.

— Cudowny dzień na ślub, nie uważa pan?

Zamrugalem w słońcu.

— Chyba tak — powiedziałem i odszedłem.

Zrobiłem to, o co prosiła Natalie. Zostawiłem ją w spokoju. Myślałem o niej codziennie, ale nigdy nie zadzwoniłem, nie próbowałem się z nią skontaktować ani nawet odszukać w sieci. Dotrzymałem słowa.

Przez sześć lat.

## 2

### SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ

Największa zmiana w moim życiu zaszła między piętnastą dwadzieścia dziewięć a piętnastą trzydzieści, chociaż wtedy nie mogłem o tym wiedzieć.

Właśnie skończyłem zajęcia z pierwszym rokiem poświęcone moralnym aspektom polityki. Poszedłem do wyjścia z Bard Hall. Dzień zachęcał do spaceru po kampusie. Było pogodne i słoneczne popołudnie w Massachusetts. Na trawnikach szaleli amatorzy frisbee. Studenci leżeli wszędzie, jakby porozrzucani jakąś olbrzymią dłonią. Muzyka ogłuszała. Wyglądało to jak żywcem wzięte z broszury reklamującej kampus marzeń.

Uwielbiam takie dni, ale kto ich nie lubi?

— Profesorze\* Fisher!

Odwrociłem się. Na trawie siedziało półkolem siedmioro studentów. Dziewczyna, która mnie zawołała, w środku.

— Zechce się pan do nas przyłączyć?

---

\* W USA „profesor” to zwrot grzecznościowy przysługujący wszystkim pracownikom dydaktycznym w college’ach niezależnie od wieku, stopnia naukowego i funkcji.

Machnąłem z uśmiechem ręką.

— Dziękuję za zaproszenie, ale mam konsultacje.

Poszedłem dalej. I tak bym nie został, chociaż chętnie posiedziałbym z nimi w taki piękny dzień — kto by nie chciał? Jest jednak granica między nauczycielem a uczniem i niestety, choć może zabrzmi to nieprzyjemnie, nie chciałem być nauczycielem — może wiecie o czym mówię — który zbyt często przestaje z uczniami, uczestniczy w studenckich zabawach i może nawet stawia piwo na meczach piłkarskich. Wykładowca powinien być pomocny i przystępny, ale nigdy nie powinien być kumplem ani rodzicem.

Kiedy dotarłem do Clark House, pani Dinsmore jak zawsze spiorunowała mnie wzrokiem na powitanie. Ta sekutnica pracowała jako sekretarka tutejszego wydziału nauk politycznych chyba od czasów administracji Hoovera. Miała ze dwieście lat, ale była humorzasta i wredna, jakby była o połowę młodsza.

— Dzień dobry, seksowna — rzuciłem do niej. — Jakież wiadomości?

— Na twoim biurku — powiedziała pani Dinsmore. Nawet jej głos ciskał pioruny. — I jak zwykle przed twoimi drzwiami stoi kolejka studentów.

— W porządku, dziękuję.

— Wygląda to jak nabór do rewii.

— Rozumiem.

— Twój poprzednik nie był tak łatwo dostępny.

— Niech pani tak nie mówi, pani Dinsmore. Kiedy byłem studentem, wciąż tu do niego przychodziłem.

— Tak, ale przynajmniej miałeś szorty odpowiedniej długości.

— Co było dla pani lekkim rozczarowaniem, no nie?

Pani Dinsmore robiła, co w jej mocy, żeby się do mnie nie uśmiechnąć.

— Zejdź mi już z oczu, dobrze?

— Niech pani przyzna.

— Chcesz kopa w zadek? Wynocha.

Posłałem jej całusa i wyszedłem tylnymi drzwiami, żeby ominąć kolejkę studentów, którzy zapisali się na konsultacje. W każdy piątek od piętnastej do siedemnastej miałem dwie godziny „pozaplanowych” konsultacji. Dwie godziny, po dziewięć minut na studenta, żadnego planu czy wcześniejszych zapisów. Wystarczyło przyjść — kto pierwszy, ten lepszy. Ściśle przestrzegaliśmy czasu. Masz dziewięć minut. Nie mniej, nie więcej, a potem minutę, żeby wyjść i wpuścić następną osobę. Jeśli ktoś potrzebował więcej czasu lub byłem jego opiekunem naukowym czy coś takiego, pani Dinsmore zapisywała go na dłuższe spotkanie.

Punktualnie o piętnastej wpuściłem pierwszą studentkę. Chciała omówić teorie Locke’a i Rousseau, dwóch politologów lepiej znanych z ich reinkarnacji w telewizyjnym serialu *Zagubieni* niż ze swoich teorii filozoficznych. Druga studentka przyszła tylko z jednego powodu — i nie będę owijał w bawełnę — żeby się podlizać. Czasem w takich przypadkach miałem ochotę podnieść rękę i powiedzieć: „Może zamiast tego upieczesz mi kilka ciastek?”, ale się powstrzymałem. Trzecia przyszła wy-

kłócać się o stopień; uważała, że należy jej się nie B+, lecz A-, podczas gdy tak naprawdę powinna otrzymać B.

I tak to szło. Niektórzy przychodzili do mojego gabinetu, żeby czegoś się nauczyć, inni zrobić dobre wrażenie, jedni ponarzekać, a drudzy pogadać — i to było w porządku. Nie osądzałem ich na podstawie tych wizyt. To byłoby błąd. Każdego studenta przechodzącego przez moje drzwi traktuję jednakowo, ponieważ jesteśmy tutaj, aby uczyć, jeśli nie politologii, to może odrobiny krytycyzmu, a nawet — o rety! — życia. Gdyby studenci przychodzili do nas w pełni ukształtowani i bez żadnych problemów, jaki byłby sens tych wizyt?

— Zostawiam ocenę B plus — powiedziałem, kiedy skończyła narzekać. — Jednak założę się, że za następną rozprawkę zdołasz uzyskać lepszy stopień.

Zabrzączał zegar stojący na moim biurku. Tak jak powiedziałem, pilnuję czasu. Była dokładnie piętnasta dwadzieścia dziewięć. Właśnie dlatego, kiedy patrzę wstecz na wszystko, co się wydarzyło, wiem dokładnie, kiedy to się zaczęło — między piętnastą dwadzieścia dziewięć a piętnastą trzydzieści.

— Dziękuję, panie profesorze — powiedziała studentka i wstała, by wyjść.

Ja również wstałem.

Mój gabinet nie zmienił się ani trochę, od kiedy cztery lata temu zostałem dziekanem, przejmując go po moim poprzedniku i mentorze, profesorze Malcolmie Humie, sekretarzu stanu jednej administracji i szefie personelu drugiej. Wciąż panowała tu ta cudowna nostalgiczna

atmosfera akademickiego nieładu — stare globusy, zbyt wielkie księgi, pożółkłe rękopisy, plakaty odłóżące ze ścian i oprawione w ramy portrety brodatych mężczyzn. W pokoju nie było biurka, tylko wielki dębowy stół, przy którym mogło usiąść dwanaście osób, czyli dokładnie tyle, ilu studentów miałem na seminarium.

Każdy kąt był zagracony. Nie posprzątałem tu nie z szacunku dla mojego mentora, jak powszechnie uważano, ale dlatego że jestem leniwy i nie chciało mi się do tego zabierać. Poza tym nie miałem własnego stylu ani zdjęć rodzinnych do pokazywania. No i nie wierzyłem w bzdurne twierdzenie, że „gabinet jest odzwierciedleniem człowieka”, a nawet gdybym wierzył, to właśnie taki byłem. Uważałem, że bałagan stymuluje samorealizację. W sterylnej czystości i porządku jest coś, co hamuje spontaniczność studenta. Bałagan zdaje się sprzyjać swobodzie wypowiedzi moich studentów, którzy najwyraźniej uważają, że skoro otoczenie jest takie zagracone i bałaganiarskie, to czy ich śmieszne pomysły mogą mu jeszcze bardziej zaszkodzić?

Jednak głównym powodem było to, że jestem leniwy i mi się nie chciało.

Oboje staliśmy przy wielkim stole, ściskając sobie dłonie. Przytrzymała moją odrobinę dłużej, niż musiała, więc pospieszenie cofnąłem rękę. Takie sytuacje nie zdarzają się często. Jednak się zdarzają. Teraz mam trzydzieści pięć lat, lecz kiedy zacząłem tu pracować — jako młody wykładowca po dwudziestce — dochodziło do tego częściej. Czy pamiętacie tę scenę w *Poszukiwaczach zaginio-*

*nej Arki*, gdy studentka napisała sobie na powiekach: „Kocham cię”? Coś takiego przydarzyło mi się w pierwszym semestrze, tylko że słowo „kocham” zastąpiła innym, a drugie słowo zmieniło się z „cię” na „mnie”. Nie pochlebiam sobie. My, wykładowcy, mamy naprawdę ogromną władzę. Ci z nas, którzy tracą z tego powodu głowę albo wierzą, że są godni takiego zainteresowania (to nie seksizm, ale prawie zawsze są to mężczyźni), zazwyczaj są bardziej niedowartościowani i spragnieni rodzicielskich uczuć niż którykolwiek ze studentów.

Gdy usiadłem, czekając na następnego studenta, spojrzałem na komputer stojący na stole po prawej. Na ekranie widoczna była główna strona college’u, podobna do stron większości uczelni. Po lewej widniała galeria zdjęć ukazujących życie studenckie oraz studentów różnych narodowości, wyznań, religii i płci zażywających przyjemności studiowania, przebywania ze sobą i wykładowcami, zajęć nadobowiązkowych, no wiecie. Baner na górze strony ukazywał godło szkoły i większość najłatwiej rozpoznawalnych budynków, łącznie z prestiżową kaplicą Johnsona, większą wersją kaplicy, w której patrzyłem, jak Natalie wychodzi za mąż.

Po prawej stronie ekranu znajdowała się kolumna z ostatnimi wiadomościami i teraz, gdy Barry Watkins, będący następnym studentem na liście, wszedł do pokoju i rzucił: „Hej, panie psorze, jak leci?”, zauważyłem wśród nich nekrolog, który przykuł moją uwagę.

— Cześć, Barry — powiedziałem, nie odrywając oczu od ekranu. — Usiądź.



Usiadł i położył nogi na stole. Wiedział, że nie mam nic przeciwko temu. Barry przychodził co tydzień. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Jego wizyty były raczej rozwodnionymi sesjami terapeutycznymi niż rozmowami na tematy naukowe, ale przeciwko temu również nic nie miałem.

Spojrzałem uważniej na monitor. Moją uwagę zwróciła nie większa od znaczka pocztowego fotografia zmarłego. Nie rozpoznałem go — nie z tej odległości — ale wyglądał młodo. Właściwie nie jest to niezwykle w przypadku nekrologów. Bardzo często uczelnia, zamiast postarać się o nowsze zdjęcie, skanuje fotografię zmarłej osoby z albumu absolwentów danego rocznika, ale tutaj nawet na pierwszy rzut oka widziałem, że jest inaczej. Uczesanie nie było fryzurą z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. Również zdjęcie nie przypominało tych czarno-białych, jakie umieszczano w albumach do 1989 roku.

Jesteśmy małą uczelnią, wypuszczamy rocznie około czterystu absolwentów. Zgony nie są czymś rzadkim, ale może dlatego że to niewielka uczelnia, zarówno jako student, jak i członek grona pedagogicznego zawsze traktowałem śmierć któregoś z jej absolwentów jak osobistą stratę.

— Hej, trenerze!

— Chwileczkę, Barry.

Marnowałem należny mu czas. Używam przenośnego zegara, takiego, jakie widuje się na meczach koszykówki w całym kraju, z wielkimi czerwonymi cyframi na wyświetlaczu. Znajomy dał mi go w prezencie, założywszy

ze względu na mój wzrost, że gram w kosza. Nie gram, ale uwielbiam ten zegar. Ponieważ został nastawiony tak, by automatycznie odliczał dziewięć minut, widziałem teraz, że studentowi zostało osiem minut i czterdzieści dziewięć sekund.

Najechałem kursorem na maleńką fotografię. Kiedy zrobiła się większa, zdołałem powstrzymać okrzyk zaskoczenia.

Zmarły nazywał się Todd Sanderson.

Wyrzuciłem nazwisko Todda z pamięci — na ślubnym zaproszeniu napisano tylko: *Ślub Todda i Natalie*, ale, o rany, znałem tę twarz. Znikł gdzieś modny zarost. Na tym zdjęciu był gładko ogolony, z włosami ostrzyżonymi niemal na rekruta. Zastanawiałem się, czy to wpływ Natalie — zawsze narzekała, że mój zarost ją drapie — a potem zadałem sobie pytanie, dlaczego myślę o czymś tak niedorzecznym.

— Zegar tyka, trenerze.

— Chwileczkę, Barry. I nie nazywaj mnie trenerem.

Podano, że Todd skończył czterdzieści dwa lata. Był trochę starszy, niż przypuszczałem. Natalie miała trzydzieści cztery — rok młodsza ode mnie. Sądziłem, że Todd był w wieku bardziej zbliżonym do naszego. Według nekrologu stanowił filar uczelnianej drużyny piłkarskiej, miał też stypendium Rhodesa. Imponujące. Ukończył z wyróżnieniem studia na wydziale historii, założył fundację dobroczynną o nazwie Nowy Start, a na ostatnim roku pełnił funkcję przewodniczącego stowarzyszenia Psi U, mojego stowarzyszenia.